

# ZA WO DOW CY

EUGENIUSZ OGIŃSKI  
OPOWIADANIA



**EUGENIUSZ OGIŃSKI**

# **ZAWODOWCY**

**OPOWIADANIA**

[Kup książkę](#)

## ZAWODOWCY

Copyright© 2015 by Eugeniusz Ogiński  
zawodowcy144@gmail.com

Redakcja  
Agata Sobierajska

Korekta  
Krzysztof Kaczmarczyk

projekt okładki  
Agnieszka Oginski

e-book: ISBN 978-83-7859-653-0  
wydanie papierowe: ISBN 978-1-5197-4610-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – tylko za zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wszystkie postacie, sytuacje i wydarzenia są fikcyjne,  
a ewentualna zbieżność nazwisk jest przypadkowa.

|                 |     |
|-----------------|-----|
| fotograf.....   | 5   |
| killer.....     | 20  |
| astronauta..... | 45  |
| filozofy.....   | 54  |
| implojer.....   | 70  |
| prokurator..... | 74  |
| ksiądz.....     | 94  |
| lekarz.....     | 113 |
| królowa.....    | 135 |

# FOTOGRAF

CZYLI KTO TO KUPI?

Stanął jak wryty.

Szeroko otwartymi oczami przebiegł kilkakrotnie po ogromnym hiperrealistycznym obrazie, przedstawiającym płaczące nad rozbitą świnką-skarbonką kilkuletnie dziecko. Łzy dziewczynki wręcz spływały po płótnie.

– Co to ma być?! – zachnął się i rozejrzał po sali.

Równie teatralnym gestem wyjął z kieszeni wyprasowanych na kant spodni błyszczącą jednocentówkę. Trzymając ją w palcach, niczym w chirurgicznych szczypcach, zbliżył się do dzieła.

Rozejrzał się ponownie.

Usatysfakcjonowany obecnością licznego audytorium, przyłożył monetę do jej realistycznej kopii na płótnie. Odczekał chwilę. Po czym cmoknął z dezaprobatą parę razy, i z pełnym politowania uśmiechem, westchnął.

– Cóż za brak precyzji! I to ma być profesjonalizm! Kto to kupi?

\*

Lili Blumenstein i Victor Vitt nie czepiali się szczegółów. Obejmując się czule, przechodzili z sali do sali i przyglądali każdemu dziełu z osobna, z uwagą. Mówili dużo, ale dyskretnie, bo domysłali się, że poza paroma hałaśliwymi malkontentami reszta gości Centrum Sztuki Nowoczesnej to autentyczni koneserzy Hiperrealizmu.

Victor, pomimo zainteresowania wystawą, sprawiał wrażenie nie całkiem zadowolonego. Nie wiadomo, czy z powodu niedosytu wrażeń artystycznych, czy też może trapiły go jakieś osobiste problemy...

Lili odwrotnie, wyglądała na szczęśliwą. Każdemu obrazowi przyglądała się z nieukrywaniem zachwytem. Od czasu do czasu zerknęła w posępne oczy Victora, kręciła głową i coś mu tam perswadowała.

– Rozchmurz się. Znowu rozmyślasz o swoich

fotografiach? Ja je uwielbiam! Przyjdzie czas, że ci wszyscy nadziani ignoranci jeszcze się będą po nie w kolejce ustawiać.

\*

W drugiej sali zatrzymali się przed wielgachnym płótnem z butami wielkości co najmniej jednego metra. Zabłocone, wytarte buciory wędrowca niemalże wychodziły z obrazu. Majstersztyk! Super precyzyjna robota zdolnego i cierpliwego artysty, który w trakcie malowania musiał obserwować oryginalne buty przez lupę. Przyklejona do podeszwy, rozdeptana glizda wyglądała jakby dopiero co wyzionęła ducha.

– Rewelacja! – westchnęła Lili.

– Hmm... – zmrużył oczy Victor – nooo... niezłe! Tyle że... brakuje mi w tym wszystkim...

– Story? – szepnęła Lili.

– No właśnie... – Victor przygryzł wargę i ściągnął brwi. – Zaczekaj... nasuwa mi się pewien...

– Pomysł? – weszła mu niecierpliwie w słowo. – Halo, Victor! Pomysł?... Mów!

\*

– Wykorzysta cię i rzuci! Wszystkie rzuca! – grzmiał, rozpostarty w designerskim fotelu, nabytym za dwadzieścia tysięcy Euro na aukcji zbiorów niedawno zmarłego dyktatora mody. Wymachiwał przy tym trzymanym w dłoni long drinkiem, chlu-

stał nim gdzie popadło: po fotelu, po marmurowej podłodze, po spodniach, na kant uprasowanych...

I nic, tylko grzmiał coraz głośniej.

Tymczasem Lili, zajęta makijażem, uśmiechała się do siebie, bo wiedziała, że ta właśnie scena zażdrości będzie ostatnią. Wczoraj postanowiła, a dzisiaj mu powie! Przy śniadaniu nie wyszło, bo nie krzyczał... Nie mogła tak jakoś bez awantury, kiedy nie krzyczał... Dlatego teraz, teraz na pewno powie... – Ale... niech się ignorant jeszcze nawścieka – pomyślała.

I rzeczywiście, po głośnym przełknięciu kolejnego haustu ginu z tonikiem, pienieł się dalej:

– Jesteś ślepa, naiwna i otumaniona. Weź i poczytaj sobie wreszcie o tym dupku! – Sięgnął po plik kolorowych tygodników i rzucił je z rozmachem, na podłogę tuż obok toaletki żony. – Dowiesz się, co to za hochsztapler. Co z tego, że nieprzeciętny, utalentowany? Słyszałem, że komornik depcze mu po piętach. Przemądrzały intelektualista, a przy tym maminsynek. I te jego porąbane performensy, czy jak je tam... nazywacie. Z tego nie ma kasy! Efekciarz, bez szansy na bestsellery. Nigdy nie zapewni ci godnego życia. A już na pewno nie dzięki tym jego... fotkom-plotkom!

– O Chryste! Znowu wyłazi ci słoma z butów? Z nim lubię i mam o czym rozmawiać... I z nim je-

stem kobietą! A nie księżniczką w pozłacanej klatce, zwanej potocznie kuchnią.

– Lili, ale ja cię kocham! – przerwał żonie, zmieniając nagle ton na przymilny.

Odstawił drinka. Ruszył do niej i klucząc pomiędzy rozrzuconymi gazetami, stanął za nią tak, aby móc podziwiać w lustrze jej seksowny dekolt.

– Ja cię kocham... bezinteresownie! A dla niego jesteś tylko modelką... którąś tam z kolei, modelką!

– Modelką!? – parsknęła śmiechem. – A gdyby nawet! Wolę to, niż rolę trofeum, do którego mnie zdegradowałeś zaraz po ślubie. Potrzebowałeś mnie tylko po to, żeby sobie podreperować wizerunek. Bo te twoje bystre, ale już podkrążone ślepka, i nos do interesów, przypominający coraz bardziej nos pijaka, dawno wszystkim obrzydły...

Zbliżała się do finału. Wiedziała, że teraz nie może się zatrzymać, nie może dać mu ani sekundy na jego fałszywe gruchanie. Złapała szybko oddech i pociągnęła bez zająknięcia.

– Nie zamierzam też dłużej figurować na liście twoich aktywów, lokat bankowych, akcji, oldtime-rów, koni wyścigowych i dzieł sztuki, których notabene nie czujesz i nie rozumiesz, i trzymasz je nie wiadomo gdzie, pod kluczem... Odchodzę!

Cisza. Tylko ten łomot serca...

Zaniepokojona, podniosła wzrok.

# KILLER

CZYLI UWODZICIELSKI SPOKÓJ ALASKI

Kochał Kalifornię.

Bo był stąd, tu się urodził.

Tu, począwszy od podstawówki, codziennie odkrywał drzemiące w nim talenty. Tu dzielnie je rozwijał i przekuwał w poszukiwane oraz doceniane na rynku pracy *soft skills*.

Szybko wyrósł na gwiazdę w swojej branży. Stał się podręcznikowym przykładem mitu o tym, jak to tu właśnie, w Los Angeles, cudownym zakątku wolnego świata, każdy może rozwijać skrzydła na tyle, na ile mu starcza wyobraźni i umiejętności.

Tu każdy, niezależnie od pochodzenia, płci, a nawet koloru skóry, jeśli tylko zechce, może zostać killerem.

Max został właśnie takim perfekcyjnym i świetnie opłacanym mordercą. Czuł się potrzebny i doceniany.

Kochał Kalifornię...

\*

Do mniejszej walizki spakował *Berettę 92*, składany karabin, lunetę, tłumik, teleskopowy dwójnóg, dwa pudełka z nabojami. Mniejszą walizkę umieścił w większej. Większa była na tyle duża, że mieściła jeszcze standardowy zestaw ciuchów, ręcznik, pastę i szczoteczkę do zębów... i parę innych ważnych drobiazgów. Brał je zawsze ze sobą, nawet wtedy, kiedy zlecenie wymagało wynajęcia pokoju tylko na jedną noc.

Nigdy w trakcie roboty nie używał hotelowych utensyliów.

Na dłuższe wyprawy zabierał nawet swoją suszarkę do włosów. Kiedy zaczynał karierę, zdarzyło się, że w hotelowej suszarce zaplątało mu się kilka włosów. Zauważył je w porę i suszarka wylądowała na śmietniku, dwadzieścia mil od hotelu.

Założył zwykłe buty, klasyczne jeansy i najzwyklejszy T-shirt z nadrukiem *I ♥ LA*. Uporządkował

biurko, pozamykał szuflady, wyłączył telewizor, położył pilota idealnie na środku pustego stolika. Rozejrzył się kontrolnie po pokoju. Perfekt!

Przeszedł do holu i spojrzał w lustro: przeciętna twarz, włosy koloru nijakiego, ani za długie, ani za krótkie, oczy szare, dwudniowy zarost... Super! Doskonale wiedział, że ten tak ostatnio modny zarost sprawiał, że co druga gęba faceta w średnim wieku nagrana przez kamerę uliczną przypominała tę, widzianą wcześniej.

Super, tak ma być i tak jest dobrze.

Wyszedł.

Wsiadł do szarego pickupa, Forda-F 150.

Wyłączył nawigację *on board*, wyjął kartę z komórki i wsunął ją do schowka w szerokim pasku spodni. Komórkę odłożył do kieszeni w drzwiach.

\*

Z lewej strony najpiękniejszej trasy zachodniego wybrzeża, California State Route 1, począwszy od Santa Monica ciągnęły się niskie, eleganckie pensjonaty, przytulne moteliki z zejściami do szerokich plaż. Było gorąco, ale i wystarczająco wietrznie dla zapalonych amatorów surfingu. Max przyglądał się im uważnie, tak samo jak rowerzystom oraz licznym spacerującym. W ciągu kwadransa naliczył z dwa tuziny facetów w jego wieku i jego postury, ubranych w podkoszulki *I ♥ LA*, *I ♥ California*,

ewentualnie *I ♥ Hollywood*.

Bardzo dobrze! Super. Wiedział, że masowo noszone T-shirty z deklaracjami miłości do jego ukochanego miasta, czy całego stanu, w razie czego mogą poważnie utrudnić identyfikację podejrzanego. Na przykład Maxa, w podkoszulce *I ♥ LA*.

Wiedział też, że ma ciężką nogę, i że mógłby się zapomnieć... Dlatego grzecznie ustawił tempomat na 50 mph. Nie miał zamiaru prowokować jakiegokolwiek awantury z pierwszym lepszym szeryfem... Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Tym bardziej, że to była jego ostatnia robota.

\*

Tydzień temu zapowiedział bossowi, że w zasadzie ma dość, i że wybiera się na emeryturę.

– Max, kurwa, ty masz dopiero czterdzieści lat! – ryknął wściekły boss.

– Z tego dwadzieścia cztery... w stresie. My, myśle o naszej branży, powinniśmy kończyć, podobnie jak saperzy, kiedy jesteśmy w najwyższej formie. Tylko wtedy mamy szansę na pewną i spokojną emeryturę – uśmiechnął się. – Niestety, za dużo wspaniałych chłopaków zapomina o tym, i w następstwie nie przestrzegania tej podstawowej zasady, przedwcześnie puka do bram świętego Piotra.

– Pieprzysz, Max! Po pierwsze, widocznie nie są wystarczająco wspaniali, a po drugie, oni, tak jak i

ty, jedynie u Lucyfera mogą liczyć na otwarcie bram.

– Lucyfer przyjmuje *tylko* wierzących, boss. Wprawdzie grzeszących, ale wierzących! Uważaj. Słyszałem, że chodzisz co niedzielę do kościoła? Z rodziną. Powodzenia! Pozdrów go ode mnie, jak już tam zawitasz.

Umilkli. Najmniejszy zgrzyt nie był w interesie żadnego z nich. Parę głębokich wdechów wystarczyło, żeby Boss wrócił do sedna.

– Mam... zlecenie... Max.

– Domyślam się. Inaczej by mnie tu nie było.

– Rozmyślasz o emeryturze... i Bóg jeden wie, o czym tam jeszcze... Nie wiem, czy się jeszcze nadajesz?

– Nie ufasz mi, to zleć innemu...

– Max, co się z tobą dzieje!? Nie mam zamiaru, kurwa, rozpisywać stanowego przetargu!

Boss wciągnął głęboko powietrze do swojej potężnej klaty, spojrzał na zegarek i na parę sekund wbił wzrok w swojego najlepszego snajpera. W końcu mruknął coś pod nosem, opadł na fotel, wyjął z szuflady paczkę o gabarycie trzydziestu tysięcy dolarów w studolarówkach i położył ją na stole.

– Dobra. Precyzyjne koordynaty i fotki dostaniesz na miejscu, jak zawsze. Co do kasy, stawka AA1... tu masz połowę, a reszta po robocie.

Max wrzucił paczkę do aktówki.

– Nie przeliczysz? – Boss spojrział na Maxa znad opuszczonych okularów.

– Nie. Ja ci ufam, skurwielu... Jak zawsze.

Puścił do bossa oko, i zniknął za drzwiami, nie żegnając się.

\*

Zbliżał się do Malibu.

Z lewej ciągnęły się rozległe plaże Pacyfiku. A z prawej, wypalone słońcem wzgórze przystrojone oazami zieleni, z których wyrastały strzeliste palmy i cudowne wille-marzenia.

Ustawił tempomat na 40 mph.

Teraz mógł się rozluźnić, i pomyśleć...

I jak zwykle, skończyło się na tym, że pomyślał o robocie. Okay, przyjąłem zlecenie. Zrobię, co trzeba. Ale potem... koniec, i już. Taaak...

Powoli miał dość tej roboty.

Nie, żeby nie mógł już patrzeć, jak padają, jak trzepoczą rękami, nogami, jak ich krew zalewa, a odłamki rozlatujących się czaszek wbijają się w oczy ich goryli... Przecież kiedy miał piętnaście lat i zapieprzał w ubojni, podrzynał gardła owieczek, to tylko przez pierwsze dwa dni wymiękał pod wpływem ich smutnych oczu.

Nie, nie o to chodziło, żeby się brzydził robotą. To rozum nakazywał skończyć. Starzał się. Trochę

# ASTRONAUTA

CZYLI WSZĘDZIE DOBRZE, ALE W DOMU NAJLEPIEJ

Wzorem mistrza Yody położył ręce na sękatym kiju, spojrzał mi w oczy i spokojnym głosem powiedział, żebym się spakował i nie marudził. Tym razem będzie to wyjątkowa wyprawa, dodał, spenetrujemy *zupełnie inny świat*.

Nie wierzyłem mu, bo Yodą nie był. Dorównywał mu co najwyżej wzrostem. A te jego „wyjątkowe wyprawy” od dawna zamieniały się w nudne wycieczki do najzwyklejszych, przeciętnych światów.

Dlatego nie pytałem o nic. Nie drgnąłem nawet.

Tyle że Victor znał mnie od lat i dobrze wiedział,

iż uwielbiam zмагаć się z wyzwaniami.

– Nie będzie łatwo, ale nie pożałujesz! Totalnie odłotowy kosmos! Fantastyczna gwiazda z cudownymi planetami większymi od Jowisza! – rozpędzał się niczym zawodowy sprzedawca markowych odkurzaczy. – I te zapierające dech w piersiach pasma górskie, wąwozy... Zobaczysz! Biją na łeb na szyję wszystkie ziemskie, łącznie z *Grand Canyon*! To zupełnie inny świat, stworzony przez zupełnie innego Boga!

O Boże! Znowu te jego cuda-niewidy. I znowu wyląduję na jakimś nudnym płaskowyżu lub co gorzej, na pomarszczonej wiatrem pustyni. Suchoj kupie piachu.

Byłem wściekły, ale co miałem robić? Viktor był szefem. Klamka zapadła.

\*

Po pokonaniu ośmiu kiloparseków<sup>3</sup>, dotarliśmy do grupy gwiazd bliżej nie zbadanych i zaczęliśmy się rozglądać za miejscem do lądowania...

\*

Przeciętne światy są przeważnie do dupy, ale mają niewątpliwie jedną zaletę – średnie temperatury, skracające czas aklimatyzacji. No tak, z tym że sam klimat to nie wszystko. W najbardziej przeciętnym świecie należy się liczyć z niespodziankami,

---

3 Jednostka odległości astronomicznej.

których konsekwencji żaden, nawet doświadczony eksplorator nie jest w stanie przewidzieć.

Dlatego i tym razem założyłem standardowy skafander.

Odkąd pamiętam, tym właściwym zdobywcą, ryzykującym wszystko eksploratorem-zawodowcem, byłem tylko i wyłącznie ja. A waśniak Victor, „wielki” kapitan statków międzygalaktycznych, astronom, fizyk cząstek elementarnych, jedynie pilotował wyprawy. I tylko z wysoka, zawieszony nad planetą, satelitą czy marną kometą, przyglądał się moim zmaganiom.

Trochę mnie to wkurzało, ale niech tam!

Taki już był, ten mój hedonistyczny szefunio, fanatyk nowych światów. Już od dzieciństwa - odkąd starczyło mu kieszonkowego na bilet do kina - podziwiał te wszystkie *Star Treki*, *Star Wars'y*, *Transformery* i podobne badziewie jedynie z wygodnych foteli, pożerając przy tym tony popcornu. Ciągłe było mu mało. Szedł na ilość i to mu zostało. Brzuch okrąglejszy od Jowisza też mu został.

Ale ogólnie... okay był. Tym razem uprzedził przecież, że ten kolejny, *zupełnie inny świat*, nie będzie łatwy do zdobycia.

\*

Wszechobecna ciemność utrudniała orientację, jednak dzięki fenomenalnym receptorom mogłem

# FILOZOFY

CZYLI WIELKI PIĄTEK W BRUKSELI

Józef zmiatał z talerza resztki krwistego befsztyka, kiedy do knajpy w pobliżu *Grote Markt van Brussel* wszedł sześćdziesięcioparoletni mężczyzna z przerzuconym przez ramię plecakiem. Pod rondem czarnego kapelusza widniała szrama idąca od łuku brwiowego ku skroni. Gość rozejrzał się apatycznie i bez pośpiechu podszedł do baru. Zanim się odwrócił, Józef, nie przerywając jedzenia, zdążył zerknąć w jego kamienną twarz. Zmarszczył czoło. Powoli odłożył sztucce... Nagle zerwał się i stanął wyprężony jak struna przed zaskoczonym gościem.

- Szymon!!!
- Sorry. Do we know each other?... Should I..?<sup>5</sup>
- Szudaj se szudaj, a ja ci mówię, Szymon, że ty - to ty, a ja - to ja! Nie poznajesz?
- Ziutek? Skąd się tu wzięłeś?
- Siadaj, to się dowiesz! – rzucił bezceremonialnie Józef. Widząc niepewną minę znajomego, roześmiał się i dodał: – Stary, zapraszam! Tylko nie mów, że nie masz czasu...

\*

– Ortodoksyjność nieco osłabła? – uśmiechnął się bez cienia wesołości Szymon, spoglądając na resztki argentyńskiego befsztyka i parę rumianych belgijskich frytek na talerzu kolegi.

– He? – bąknął nieelegancko Józef. Uniósł brwi i wlepił oczy w skonfundowaną twarz przyjaciela.

– No... dzisiaj piątek... – tłumaczył się Szymon – Wielki Piątek. Myślałem, że... ale... nie krępuj się. Dla mnie to żaden problem...

– Aaa! Zupełnie mi wyleciało. Wiesz... w centrum bezbożnej Europy... – mrugnął porozumiewawczo Józef – kto tu pamięta o jakichś tam... piątkach... A poza tym, haruję jak wół, to i na woła przychodzi ochota.

Sięgnął po serwetkę, wytarł zatłuszczone wargi i spoconą łysinę, poprawił okulary i dodał, już cał-

---

<sup>5</sup> Przepraszam. Czy my się znamy? Czy powinienem...?

kiem polubownie:

– Bóg wybaczy... tak samo jak i tobie... brak znacznych pejsów. Zresztą, nieważne! – roześmiał się, po czym rozglądając się niecierpliwie po prawie pustej sali, wstał. – Zaczekaj, pogonię tego śpiącego *frytkojada* za barem, bo nim się tu zjawi, to wyschniemy na amen...

\*

Kelner, przystojny Murzyn, postawił na stole butelkę zmrożonej śliwownicy, dwa kieliszki i zestaw zaskasek. Józef kiwnął głową, zerknął na kelnera i ruchem ręki dał do zrozumienia, że sami sobie poradzają z rozlaniem wódki.

Kolega Szymon spojrzał podejrzliwie na butelkę, zmarszczył czoło. Pochylając się nad stołem, przybliżył nos do etykiety. Józef uśmiechnął się od ucha do ucha.

– 60%. Koszerna. Innej bym nie zamawiał... znasz mnie – sięgnął po flaszkę i napełnił po brzegi dwa kieliszki.

– Oby nam się!

– Zdrówko!

Wypili do dna, jednym haustem.

– No! Opowiadaj! – zaczął Józef – Albo... poczekaj. Kiedy to widzieliśmy się ostatnio?

– Hmmm... Wtedy, *Pod Samsonem*....

– Aaaa. Racja, racja, ty to masz głowę, Szymuś!

Taaak, za Barbakanem, na Freta! Super golonkę tam mieli, a i wódeczka była bez zarzutu. Koszerna! Chyba z dwie flaszki obaliliśmy, tak? To były czasy! Gadałeś jak najęty.

Józef nalał znowu po brzegi i nie czekając na Szymona, podniósł kieliszek. Zauważył, że kolega także przy drugim kieliszku nie sięga po zakąskę.

– Bez zagrychy... Szymuś, oj ryzykujesz. Zanim flaszkę obalimy... to mi tu jeszcze zaślabniesz! Słuchaj! Te argentyńskie befsztyki tutaj to pewnie i koszerne można zamówić? Wiesz, czytałem gdzieś, że w Buenos Aires to nawet jeden MacDonald jest koszerne... tak.. ale pierogów z kapustą i grzybami tam nie uświadczysz! A tu, kto wie, może pracuje tu jaki *szojchet*<sup>6</sup>?

Józef stuknął kieliszkiem o kieliszek przyjaciela.

– Zapytam, co?... Nie? No to cyk Szymuś, za nasze!

Nie czekając na odpowiedź wlał całą zawartość kieliszka w szeroko rozchylone usta i widząc, że kolega robi to samo, uśmiechnął się. Zatarł ręce i poprawił się na krześle.

– Z tobą to naprawdę, fajnie było... Pamiętam wtedy, *Pod Samsonem*, cały ten swój scenariusz mi opowiedziałeś. Podobał mi się... Naprawdę! Wyszło ci coś z tego?

---

6 Osoba dokonująca koszerne uboju bydła.

# IMPLOJER

CZYLI Z PAMIĘTNIAKI SEMI-ANGLIKA

wtorek, 4.8.2015

Z samego rana wszedłem do szefa, żeby mi wyjaśnił wczorajszego *mejla* z godziny 21:23.

Zacząłem od drzwi, prosto z mostu.

– Znowu nocka na *stendbaju*?!

– Jesteś na *ful tajmie*, czy nie? I nie narzekaj, bo jak zawalisz *dedlajna* to ja najwyżej cię opierdolę, ale *sejlsmenedżer* po *fakapie wyattuje* nas obu.

Stara piosenka, której refrenu miałem powyżej uszu. Nawet nie usiadłem. Odwróciłem się na pięcie i rzuciłem na odchodne, w drzwiach.

– Taki *lajf*.

Byłem wkurzony i było mi wszystko jedno, bo wcześniej *miałem kola* z Dzidką. Kiedy chlapnąłem do smarta, „*esajment jest asap*”, z mety okazała się, że jeśli nie załatwię *stendina* to o *lajkach, komentach* czy *szerach* przez parę *likendów* mogę zapomnieć!

Reszta dnia minęła mi na kombinowaniu, jak wytłumaczyć Dzidce, że znowu nici z wymarzonej, wspólnej kolacji?

środa, 5.8.2015

Nad ranem, ledwo żywy, jakimś cudem pogodziłem się z Dzidką. Było *kul*.

Trzy kwadranse później, w *korpo*, po kolejnym *fakap-mitingu* dostałem trzy *pressingi* z *asapami*.

Nic z tego nie rozumiałem. I co zrobiłem?

Zachowałem się jak rasowy *implojer*. A co!

*Mejle sfortardowałem*, dopisując prośbę o *fidbeki*. *Asapy zboldowałem*. Wiedziałem, że bez *fidbeków* groził mi *altsors*. Zaryzykowałem i *esami* umówiłem cały *tim* na *brejnstorming*, łącznie z *ki ekountem*. Wrzucę im parę pomysłów na *nektstępy*. Może pomogę komuś w karierze i jeszcze mi podziękuję?

Po południu usłyszałem od szefa zjechałą płytę

– *Czelendżujesz kejsa*, nie fokusując się na *ekszyn pointach*! Rób tak dalej a *Pi Em* wyśle cię na *altsors*.

# PROKURATOR

CZYLI PIEKIELNIE MOZOLNE ŚLEDZTWO

W zwłokach Henryka Maruskiego, bezpartyjnego kandydata na prezydenta miasta, znalezionych na zapleczu apteki wykryto resztki silnej trucizny. W kontekście agresywnej kampanii wyborczej owa nagła śmierć nowicjusza miejscowej sceny politycznej zapachniała zabójstwem. W szkicu raportu z miejsca zdarzenia można było przeczytać: *ślady butów wokół denata - uwaga! dwa numery większe od stóp ofiary. denat - podbite oko, złamane przedramię. miejsce zbrodni - uwaga! zapach świeżej farby, ogólny burdel. poprzewracane regaty.*

Na mieście, w knajpach, taksówkach i tramwajach szybko rozeszły się plotki, przekraczające dopuszczalne granice wolności słowa. Zasada domniemania niewinności? Bez przesady, wszystko jasne: ponadpartyjna zмова! Bezkarność służb specjalnych! Szara strefa! Kupczenie! Zdrada! Gdzie był w tym czasie przewodniczący Rady?... Aptekarska mafia! Zemsta byłego kochanka właścicielki apteki, pięknej miss województwa sprzed siedmiu lat, a od niedawna, świeżo upieczonej magister farmacji, Leny Blumenstein!

Każdy na mieście wiedział, że śliczna Lena jeszcze w zeszłym roku kręciła z atletycznym studentem medycyny sądowej z sąsiedniego Zagórza...

Każdy na mieście wiedział też, że Lena od niedawna była żoną dwa razy starszego od siebie Henryka Maruskiego.

Dwudziestopięcioletnia magister farmacji przyjęła jego ofertę małżeństwa z nieukrywaną rezerwą, jednak nie powiedziała nie. Między innymi dlatego, że Maruski, wprowadzie przedwcześnie wyłysiały, grubawy, ale bardzo zadbany facet, pachnący wodą toaletową, której zapach lubiła, gwarantował przyjemne i harmonijne życie. I kiedy ten solidny facet, potrafiący perfekcyjnie dobierać krawaty nie tylko do *swoich* eleganckich koszul, ale także do *jej* wytwornych kreacji wieczorowych, zaskoczył ją atrak-

cyjnym prezentem zaręczynowym, wręczając klucze do lokalu przeznaczonego na *jej* aptekę, coś w niej drgnęło i klamka zapadła. Po tygodniu Lena Blumenstein i Henryk Maruski podpisali akt małżeństwa.

Przyszła apteka, z racji super lokalizacji, rokowała rzetelne dochody. To się Lenie bardzo podobało, chociaż, jak sama często podkreślała, bogactwo nigdy nie było dla niej szczególną podniętą.

Bardziej pociągało ją, o czym już nie mówiła otwarcie, samo towarzystwo polityków, różnej masy prominentów, tych z górnej półki, tych wszystkich ważnych, którzy niewiele mówili o pieniądzach, a pełną parą żyli.

\*

Zaraz po tym, jak Henryk Maruski zgłosił swoją kandydaturę na prezydenta miasta media rozpoczęły karmienie opinii publicznej szczegółami jego prywatnego, a nawet intymnego życia. Opinia dowiedziała się na przykład, że Maruski najbardziej wymiękał na widok Leny w białym *Intimissimi*. Na krótko przed ich ślubem powiatowi paparazzi dotarli za Leną nawet do stolicy. W największym centrum handlowym, kiedy wychodziła z butików sieci *Intimissimi*, obkoczyli ją i obfotografowali, jakby była co najmniej Seleną Gomez na paryskim Fashion-Week.

Teraz barwa czy krój majtek, podwiązek, gorse-tów oraz biustonoszy Leny straciły nieco na medialności. Znudziły się i zeszły z pierwszych stron kolorowych gazet, plotkarskich blogów, portali społecznościowych...

Szmatławce polowały na jeszcze pikantniejsze plotki. Niecierpliwy zaś naród – na igrzyska, a tu pech. Bo śledztwo, niestety, zaczęło się ślimaczyć. Na pierwszej konferencji prasowej prowadzący sprawę, twardy i wyjątkowo pryncypialny prokurator, Józef Kajfasz ogłosił, że śledztwo w sprawie zabójstwa Henryka Maruskiego trwa. Niebywale treściwe wystąpienie! – komentowali z jadowitym sarkazmem wypowiedź przedstawiciela prawa głodni sensacji dziennikarze. Nie chcąc zaogniać sytuacji, prokurator ignorował pytania o szczegóły i jakby nigdy nic, zaapelował o cierpliwość. Po kwadransie nudnej prawniczej nowomowy, bez jakiegokolwiek wyjaśniania, wykluczył polityczny motyw zabójstwa. Na koniec obiecał:

– Śledztwo nie zwolni tempa, nawet jeżeli mediom odejdzie ochota na dopytywanie się o jego postępy.

Żurnaliści czekali na konkrety, a usłyszeli obraźliwą przyganę! Dlatego Kajfasz nie usłyszał oklasków.

– Ofiarą jest wielce zasłużony dla naszego miasta

– kontynuował nie zrażony ciszą sali prokurator – zaangażowany obywatel, który cieszył się wielkim poparciem społecznym i był poważnym kandydatem na objęcie szaczytnego urzędu. Jego program wyborczy... – przerwał, rozejrzał się – państwo wybaczę, zagalopowałem się. Mój stosunek do programu wyborczego nieżyjącego kandydata nie ma oczywiście żadnego znaczenia i nie wpłynie na przebieg śledztwa...

Po paru następnych podobnych zdaniach sala opustoszała. Zdawkowe „Do zobaczenia Państwu” usłyszało już tylko kilku najmłodszych dzięciołów sztuki dziennikarskiej.

\*

Lena, schodząc do apteki, pomyślała, że na jej cholerny ból głowy żadna aspiryna nie pomoże. Musiałaby wziąć potrójną dawkę! Ale co na to jej żołądek? Rzygać nie lubiła.

W aptecę pachniało jeszcze świeżą farbą. Dziewczyna przypominała sobie, jak Henryk, wręczając pęk kluczy, powiedział: „To twój lokal, twoja apteka, urządzisz ją sobie, jak będziesz chciała. Sama poprowadzisz adaptację i aranżację. Ja się na tym nie znam. Możesz poszaleć, ale proszę cię, ogranicz się do zatrudniania miejscowych firm. To na pewno nam nie zaszkodzi.”

Pociągając nosem z powodu przeziębienia, a

# KSIĄDZ

CZYLI JAK AURA NIE POSZŁA NA MARNE

Zaproponowałem najdalszy zakątek hotelowego tarasu, niedaleko ścieżki prowadzącej na plażę. Tu mogliśmy w spokoju, przy akompaniamencie kojącego szumu morza, wypić naszą ulubioną poranną kawę, zapalić, porozmawiać o sobie, o nas... A może i zamienić parę słów. Z daleka od restauracyjnego gwaru i stukotu kelnerskich wózków.

Jak tylko usadowiliśmy się w wyścielonych pledami fotelach, jak na złość rozległ się dzwonek komórki mojej żony. Popatrzyliśmy po sobie szczerze zdziwieni, bo jak dotąd, o tej porze nikt tu do nas

nie wydzwaniał!

Jakiś głos w słuchawce oznajmił barytonem, że należy do wujka z Francji. I kiedy okazało się, że ów od czterdziestu lat niewidziany wujek, jakimś dziwnym zrządzeniem losu trafił w tym samym czasie do tego samego nadbałtyckiego kurortu co my, żona o mało nie zemdląła. Szybko jednak wróciła do równowagi, bo po paru zdaniach wujka okazało się, że nie ma w tym nic mistycznego, że to zwykły przypadek. Po następnych paru zdaniach, przeplatanych serdecznymi ochami i achami, domyśliłem się, że zostaliśmy zaproszeni na kolację. Do „Fali Bałtyku”.

– Będzie czekał o dziewiętnastej, przed hotelem – potwierdziła moje domysły uszczęśliwiona perspektywą nadzwyczajnego rodzinnego spotkania żona i zaraz wciągnęła mnie w wir przygotowań. – Sprawdź, gdzie to jest, poszukaj na mapie, albo w tym swoim wszytkowiedzącym smartfonie. Ustaw nawigację... żeby potem nie błądzić!

Okazało się, że gdybyśmy poszli na skróty, wzdłuż plaży, a następnie nowym szerokim bulwarem, mielibyśmy do pokonania zaledwie dwa kilometry.

Okay, pójdziemy spacerkiem. Nic nas nie goniło, mieliśmy mnóstwo czasu, wszak byliśmy na wczasach. W dodatku aura dopisywała i nic nie wskazy-

wało na jej pogorszenie.

\*

Co robić?

Przeciągające się malowanki-przebieranki pod-ekscytowanej przygotowaniami do wyjścia żony groziły... poważnym spóźnieniem. A przypominanie o być może już stojącym przed wejściem do „Fali Bałtyku” wujku groziło ripostą: „Nie poganiaj mnie, bo przez twoje gadanie wszystko się wydłuży... i znowu popsujesz mi...”

Spojrzałem na zegarek.

Za kwadrans dziewiętnast!

– Wiem, że chcesz przepięknie wyglądać i rozumieć to, ale na Boga – powiedziałem spokojnie – to przecież twój wujek i w dodatku... ksiądz.

Zero reakcji.

Po minucie znowu spojrzałem na zegarek.

– Coś się zmieniło między wami od ostatniego spotkania sprzed... ilu to... laty? Czterdziestu? Pięćdziesięciu? Czy... – uciałem, bo zdałem sobie sprawę, że wypominanie jej lat, akurat teraz, może przelać kielich goryczy...

A tego nie chciałem, tym bardziej, że od dłuższego czasu nie za bardzo nam się układało. Urlop nad morzem miał pomóc zreperować to i owo, ale minął tydzień a spektakularnych sukcesów nie zanotowaliśmy. No to może teraz to rodzinne spotka-

nie z wujkiem-księdzem... Może jego aura, błogosławieństwo jakie... Ja tam nie wierzyłem w takie nadzwyczajne moce, ale może wystarczy, że żona...

Westchnąłem z ulgą, bo zauważyłem, że na szczęście myślami była gdzie indziej.

W końcu machnąłem ręką. Najwyżej sama się będzie tłumaczyć przed wujkiem z wrodzonego spóźniałstwa. A ja, chociaż go nigdy osobiście nie poznałem i nie byłem też, delikatnie mówiąc, fanem kleru, to jednak uważałem, że starszemu wujkowi na emeryturze należy się po prostu szacunek.

\*

– Przede wszystkim zapomnij o antyklerykalizmie! – zaczęła wartko żona, zanim usłyszałem kliknięcie pasa bezpieczeństwa. Zaraz po wyjeździe z podziemnego parkingu odchyliła lusterko samochodowe i zabrała się do poprawiania makijażu.

– Nie trzęś tak... Uważaj! Jeszcze sobie oko pobrudzę! I nie waż się dyskutować z nim o żadnej wierze, religii, biskupach i w ogóle o kościele. O polityce też milcz, bo nie wiemy, z której opcji jest, a ja chcę porozmawiać tylko o rodzinie, o Zbyszku w Ameryce.... o cioci z Krakowa.... Ciekawe, jak teraz wygląda... Ciekawe, czy go poznam?... Uważaj! Trzęsiesz... Generalnie, to chcę się przede wszystkim odprężyć. Pamiętaj!

I tak przez całą drogę.

\*

Zdążyliśmy cudem. Na wszystkich skrzyżowaniach jakaś moc nieziemska przełączała nam światła na zielone. Mój ateizm zadrżał w posadach.

– No popatrz, zdążyliśmy. To sprawka twojego wuja-księdza! – skomentowałem cud, próbując rozładować napięcie. Żona, zajęta szczegółowym układaniem przebiegu wizyty, zignorowała mój dowcip.

\*

„Fala Bałtyku” okazała się być ośrodkiem sanatoryjnym, a nie żadnym hotelem. Zaparkowaliśmy kilkadziesiąt metrów za rogiem. Długa ścieżka z połamanymi płytkami betonowymi prowadziła do łukowatego podjazdu i długich schodów z płukanego betonu. Resztki wyblakłych farb na kolorowej niegdyś barierce, wybornym przykładzie „gierkowskiego baroku”, prosiły o gruntowny *face lifting*. O reszcie nie wspomnę, ale pamiętam, że mi się łezka w oku zakręciła... Wszystkie okoliczne hotele dorównywały architekturą najnowszym światowym standardom. Tylko „Fala Bałtyku” broniła honoru realnego socjalizmu. Trochę się ponabijałem z zażytku FWP. Za to żona, jak to moja żona, pacyfistka, wzór łagodności i skrajnego optymizmu natychmiast doszukała się w tym pozytywnej strony...

– Widzisz, jaki wujek skromny!? Nie rzuca się na żadne luksusy, ekstrawagancje! Zawsze był skrom-

# LEKARZ

CZYLI CUDZE CHWALICIE, A SWEGO NIE ZNACIE

*Przejechaliśmy 458 km tylko i wyłącznie w celu zrobienia paru pieprzonych fotek reklamowych we wnętrzu Tourana stojącym na parkingu, przed budynkiem zarządu VW. Na miejscu przywitał nas lodowaty deszcz przechodzący w zamieć. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego nie wpuszczono nas do fabrycznego, ogrzewanego garażu? Byliśmy w końcu kooperantami koncernu, wprawdzie drobnymi, ale jednak!*

*Przez dwie godziny męczyliśmy się z zamocowaniem prototypu nowego adaptera mobilnej nawigacji, najnowszego dzieła naszego szefunia. Ze zdjęć nic nie*

*wyszło, bo adapter do auta nie pasował. Dlaczego? Ano, szef, oszczędzając na konsultacjach z fabryką, doprowadził do fatalnego nieporozumienia. Przez dwa miesiące dwa działy – projektantów i prototypownia pracowały, jak się właśnie okazało, w oparciu o materiały VW, których nikt wcześniej nie sprawdził i nie zauważył, że dotyczą najbardziej okrojonego egzemplarza Tourana, którego sprzedaż sięgała 3-5% liczby wszystkich innych, ponadstandardowych modeli.*

*Super interes!*

*O podwyżkach przez najbliższe dwa lata mogliśmy zapomnieć. Debilna firma, debilny szef.*

\*\*\*

Nigdy jeszcze nie poczułem się aż tak dobrze.

Koledzy, słuchający mojej tyrady, kamuflowali emocje i kryli się przed inkwizytorskim spojrzeniem debilnego szefa, jak tylko mogli. Chowali się za monitorami lub pochylali głowy, niby to szukając rozsypanych po podłodze spinaczy. A ja czułem w ich półuśmiechach, wyhamowywanych grymasach – szczery podziw...

Od minuty opierdalałem szefa... w obecności całego działu. Stał z otwartą gębą i ani mru, mru. I małał w oczach. Było mi błogo. Nagle coś mnie tknęło i zacząłem szukać, chyba kluczyków od auta... Po jakiego wała szukam tych pieprzonych

kluczyków? Uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, gdzie zaparkowałem mój samochód... Wkurzały mnie te nieznośne luki w pamięci, ale machnąłem na razie ręką, bo mieliśmy i tak jechać służbowym. Wtem rozległ się znany mi alarm. Złodzieje pod firmą? Co się tam dzieje?

Wkurzony i spocony do ostatniej nitki... obudziłem się. Otwartą dłońią walnąłem w budzik. Jęknął, ale przeżył. Tykał jeszcze.

środa, 7:31

Ciągle jeszcze leżąc w łóżku, przypomniałem sobie, że wczoraj w firmie miarka się przebrała. Szef znowu przeszedł samego siebie. Właśnie wczoraj dowiedzieliśmy się, że zmarnował następne dwa miliony z hakiem na bezsensowny projekt. Upierał się przy jego realizacji pomimo tego, że ani szef sprzedaży, ani marketing nie dawali najnowszemu jego „dziecku” żadnych szans na sukces rynkowy.

Siedząc na kłopie, przypominałem sobie inne przesrane i kosztowne pomysły szefa, burdel organizacyjny w firmie, totalna improwizacja i wieczne błędzenie po, jak by nie było, piekielnie trudnym rynku motoryzacyjnym. Brak perspektyw.

W miarę rozmyślań, nakręcałem się.

Miałem dosyć debilnej firmy i debilnego szefa.

I traumatycznych snów!

Ale zanim stamtąd odejdę, wyciągnę od nich parę groszy. Postanowiłem ukarać szefa i wybrałem się do lekarza po L4.

\*

środa, 8:34

U doktora Hartmanna nigdy nie czekało się dłużej niż kwadrans. Nie dlatego, że miał bardzo dobrze zorganizowaną praxis. Tajemnicą poliszynela było, iż pacjentami *Doc. Holiday'a*, jak mówiono o doktorze Hartmannie w środowisku pracodawców, byli przeważnie pracobiorcy cierpiący na syndrom krótkiego urlopu.

Wymolestowanie (nawet dłuższego) zwolnienia u *Doc. Holiday'a* było kwestią minut.

– Co mogę dla pana zrobić? – uśmiechnął się, i jak zwykle przyjaźnie wskazał kozetkę. Zanim do niej doszedłem, już przeglądał w komputerze moją kartotekę. Moja dwunastoletnia historia wizyt należała do całkiem przeciętnych. Grypki, przeziębionka, anginy, hemoroidy i takie tam drobiazgi... średnio raz, góra dwa razy w roku. Zwolnienia nie dłuższe niż na cztery dni.

Jak dotąd nie nadwyrężyłem ani kasy firmy, ani ubezpieczalni.

Lubiłem swój zawód, lubiłem pracować. Byle sensownie!

# KRÓLOWA

CZYLI O PANI, KTÓRA NIE DAŁA RADY

Moja dwunasta córka Betty, kiedy usłyszała cichy głosik malutkiej Carolin: *Dziadziu, a Księżyc był wtedy biały, czy złoty?* – Wskazała na drzwi pokoju wnuczki i powiedziała rozdrażnionym tonem.

– No i słyszysz! A nie mówiłam ci tato, że jak zaczniesz, to będziesz musiał skończyć. Carolin taka jest. Teraz musisz do niej wejść, i ona zaleje cię morzem pytań... Do rana nie skończycie, a ja chciałam jutro pojechać z nią do Zoo-Kopuły. Podobno zgromadzili tam wszystkie odzyskane afrykańskie zwierzęta... łącznie z motylami. Carolin o tym oczywi-

ście wie i jeśli się porządnie nie wyśpi, to wiesz, co mnie czeka?!

\*

Wszedłem do pokoju.

Było ciemno, jedynie wpadająca przez małe okrągłe okienko poświata księżycy pozwalała jako tako dostrzec kontury łóżeczka i leżącą pod cienką kołderką Carolin.

Moja słodziutka, najmłodsza, sześćioletnia wnuczka przytulała się do pluszowej żabki. Zanim zamknąłem za sobą drzwi, zdążyła strzelić do mnie serią pytań: *A Saturn, Dziadziu? Był wtedy złoty, czy biały? Miał tyle samo pierścieni, co teraz? A ile Saturn ma księżyców?*

Córka miała rację.

Dla jasności, zacząłem od początku...

\*

– Posłuchaj, moja malutka. Dawno, bardzo dawno temu, w środku kwitnącej Europy, żyła sobie królowa o imieniu Alegna. Bardzo długo była szczęśliwą królową, jednak pewnego lata strasznie posmutniała, bo jej doniesiono, że w całym jej królestwie nikt już nie chce mieć dzieci. Z roku na rok ubywało poddanych, a przybywało zabawek dla dorosłych. A najgorsze, że wszyscy chcieli tylko hulańek, bankietów i bezmyślnych imprez. Nadworni lekarze i psycholodzy królowej twierdzili, że nie-

stety, ale instynkt samozachowawczy gatunku zanika w zastraszającym tempie.

Jak tak dalej pójdzie, rozmyślała smutna królowa Alegna, to niedługo pozostaną same staruszki i starcy, którzy poumierają w samotności i królestwo, a może i Europa, a nawet cały świat, zarośnie chwastami.

Na szczęście Alegna była nie tylko dobra ale i bardzo mądra. Zaprosiła do swojego królestwa wszystkich chętnych z innych krajów, zwłaszcza z tych, w których było bardzo mało zabawek dla dorosłych. Nie trzeba było długo czekać. W ciągu paru tygodni zjechało mnóstwo ludzi chcących mieć mnóstwo dzieci. Na wszystkich przybyszów czekała praca, a na ich potomstwo przedszkola i szkoły, place zabaw, ścieżki rowerowe, parki wodne i śliczne domki z ogródkami.

Królowa znowu była szczęśliwa.

Poczuła się jeszcze bardziej szczęśliwa, kiedy w sąsiednim królestwie, cierpiącym na te same problemy, tamtejszy król zarządził 500 złotych dukatów nagrody dla wszystkich mam, które urodzą drugie dziecko, 1000 złotych dukatów na trzecie, 1500 na czwarte i tak dalej...

Minęło kilkanaście lat i królowa posmutniała, bo